165

OD MIŁOŚCI — DO SEXU

SZKLANA MELPOMENA

JAK pisać o tej sztuce? Taka sobie, w miarę dowcipna, od środka i pod koniec nudnawa, historia o małżeńskim trójkącie. Młoda Elżbieta **(Katarzyna Łaniewska)** zdradza swego starego męża **(Jan Świderski)** z sympatycznym ale głupawym, choć ambitnym i osiągającym swój sukces życiowy Jonatanem **(Roman Kłosowski)**.

I nie tylko zdradza; nie skończyło się przecież na „letniej przygodzie". Romans trwa dalej i ma poważniejsze aspiracje. Elżbieta chce opuścić męża i udać się w siną dal z ukochanym.

A mąż? Wymyślił piekielny plan. To proszki nasenne w pudełku od spinek, to pętla dyndająca nad stołem. Popełnię samobójstwo! Czy myśli o tym serio? Gdzie tam, on tak dla hecy, żeby zatruć Elżbiecie i Jonatanowi całą przyjemność przygody sentymentalnej. Powiesi się czy nie powiesi się, oto pytanie, które — według planu — będą sobie zadawać cudzołożni kochankowie w najmilszych chwilach szczebiotu. Najgorsza jest ta niepewność...

Sztuka podoba się. Samochód jest od tego, żeby jeździł, radio, aby odbierało fale elektromagnetyczne, szczotka do zamiatania, a komedia, żeby było śmiesznie. I jest śmiesznie, dzięki kapitalnej kreacji **Jana Świderskiego**, który dość rzadko ujawnia swój talent komiczny, ale jeśli ujawni, no to... I jest śmiesznie dzięki jakiemuś rzadkiemu w dzisiejszych czasach ładunkowi kobiecego ciepła, połączonego z roztropną naiwnością, jakie zaprezentowała nam **Katarzyna Łaniewska...** I jest śmiesznie dzięki grze **Kłosowskiego**, który troszeńkę ociera się o granice, za którymi jest banał i sztampa, ale ani razu ich nie przekracza. Takie balansowanie na krawędzi czegokolwiek jest zawsze interesujące, choć nie pozbawione odrobiny lęku: czy nie wychyli się zanadto.

No dobrze, mamy pozycję rozrywkową. Czy coś więcej? Czy jest w niej coś, nad czym przez chwilę można się zadumać? Ależ tak, naturalnie. Kochanek Elżbiety, Jonatan, miły i sprytniutki facecik z jakiegoś londyńskiego biura reklamy, reflektuje się. Owszem, Elżbieta jest ponętna, przygoda romantyczna, ale w końcu najważniejsza jest karlera. Przytacza zatem sześć zasadniczych przyczyn, dla których musi skończyć z tym wszystkim, a Elżbieta ma pozostać przy swoim starzejącym się mężu.

I co jest zabawne, to ta łatwość, z jaką wszyscy w gruncie rzeczy rezygnują. Rezygnują — z czego. O, właśnie nad tym warto się przez chwilę zastanowić.

Z miłości? Właśnie, z tym słowem jest kłopot. Współczesna terminologia świata zachodniego chętnie zastępuje to słowo innym. Mianowicie: sexem. Zewnętrznie rzecz biorąc, sex i miłość są do siebie podobne. Ale to tylko zewnętrznie. W istocie między jednym a drugim istnieje kosmiczna odległość. Miłość, to coś takiego, co sprawia, że jeden człowiek jest — aby użyć nieco wymyślnej terminologii — niezastępowalny. Ta — albo żadna. Sex funkcjonuje na zupełnie innej zasadzie. Nie będzie ta, to będzie inna. Głośna parę lat temu w Europie była sprawa pewnego Niemca, który zastrzelił drugiego Niemca (oczywiście w NRF) za to, że ten powiedział coś ubliżającego pod adresem... nie, nie narzeczonej, nie ukochanej, ale jego nowego „Mercedesa". Samochód upodobnił się do kobiety, kobieta upodobniła się do samochodu.

Myślicie, że to takie strasznie nowoczesne? Gdzie tam... Pod koniec każdej epoki widzimy to samo. Tak działo się przy zmierzchu starożytnego Rzymu. Identycznie kończył się świat dawnego Islamu. Wyuzdanie seksualne towarzyszyło uroczej — ale tylko z daleka! — epoce rokoko, gdy na zmianę świata feudalnego przychodziła formacja kapitalistyczna. No i teraz, ten rozbuchany sex, mający paraliżować wszelkie elementy wyższej osobowości, ten rozbuchany na Zachodzie sex, który owocuje nie tylko zbiorowymi histeriami i rozbitymi rodzinami i zagubioną młodzieżą, lecz także chorobami psychicznymi w skali masowej i dotąd nie spotykanej nigdzie.

Ta sztuka, którą oglądaliśmy w poniedziałek, jest sztuką o łatwej rezygnacji. I nie ma w tym nic dziwnego; w końcu dla Stanleya jego żona jest czymś niewiele ponad pracownicę czy wspólniczkę; dla Jonatana, kochanka, jest przygodą, jest zabawą podpatrzoną w kinie i odegraną na wczasach pod gruszą i niczym więcej. Planowane samobójstwo męża nie jest aktem rozpaczy; jest złośliwością, jego podrzuceniem szczura „młodej parze"; w końcu Jonatan i Elżbieta rezygnują ze swego „szczęścia" nie dlatego, aby się bali mieć na sumieniu samobójcę, ale dlatego, że historia taka nie mieści się w arrywistycznej kalkulacji młodego człowieka. Cóż dziwnego, że rezygnacja przychodzi tak łatwo...

Oto i wszystko, a teraz, odrywając się od tej miłej, bezpretensjonalnej sztuki, a przecież w jakiś sposób symptomatycznej dla współczesnych tendencji obyczajowości zachodniej, zatrzymajmy się na momencie, który wydaje mi się być dość istotny.

Właściwie: jaki jest mechanizm tego „przejścia" od miłości do sexu, tego wypatroszenia związku między mężczyzną a kobietą z wszelkich ładunków emocjonalnych czy intelektualnych i uczynienia zeń czegoś pośredniego między gimnastyką i turystyką. Już wspominałem, że wszystkim epokom zmierzchu towarzyszą w tej czy innej formie podobne zjawiska. Ich najgłębszym wspólnym mianownikiem jest kryzys wartości ludzkich, moralnych czy społecznych, jest utrata braku perspektywy — do czego zmierzamy, o co warto walczyć i po co się żyje... Gdy w tym zakresie panuje zamęt, na plan pierwszy wchodzą rzeczy najprymitywniejsze, biologiczne, zmysłowe, elementarne. Biologia jest tym w człowieku, co „wysiada" najpóźniej; wszystko inne może się zachwiać, ale biologia trwać będzie tak długo, jak długo istnieje — fizycznie — człowiek.

No tak, ale w przebiegu tego procesu należy dostrzec także i to, co jest specyficzne dla epoki zmierzchu kapitalizmu. Cóż to takiego? Myślę, że pewna planowość tej imprezy... Co takiego? — A tak, tak właśnie. Zbyt wiele elementów w tej historii idealnie pasuje do siebie, żeby nie podejrzewać stojącego za tym wszystkim dyrygenta.

Co zrobić z ludźmi pracy? Z tymi masami szarych ludzi, którzy nie mają najmniejszego zamiaru schodzić ze sceny historycznej razem z umierającym kapitalizmem? Które mogą się pewnego dnia zbuntować i zażądać zmiany ustroju... Bo w końcu jak długo można tolerować ustrój i politykę, która zagraża istnieniu ludzkości.

Od czegóż jednak psychotechnika? Więźniom, którzy zbyt rozrabiają, podaje się pastylki uspokajające, które jednocześnie otępiają, ale to już inna historia. Podobnie masom, które mogą się zbuntować...

Psychotechnika w wielkim stylu zajmie ich rozbuchanym do granic neurozy sexem. Modą zmienianą trzy razy do roku. Muzyką skierowaną nie ku temu, co ludzkie, ale temu, co zwierzęce w człowieku. Histerią samochodową. Blichtrem opakowań, często droższych niż towar, który jest w środku. Obrazami malowanymi ogonem przez psa.

Tak spreparowane masy — obliczają wielcy psychotechnicy burżuazyjni — otępieją i staną się już nawet nie przedmiotem rządzenia, ale przedmiotem manipulacji. Zaprogramujemy im ich dążenia, marzenia, tęsknoty, ideały — tak jak na perforowanej taśmie programuje się gesty i dźwięki wydawane przez robota. Uwierzą we wszystko, co się im do wierzenia podaje — że mają decydujący wpływ na rządy i że powinni kupować nie to, co najpotrzebniejsze, lecz to, czego sprzedaż najlepiej kalkuluje się producentom: płyty gramofonowe zamiast podręczników szkolnych i tygodniki pornograficzne zamiast biletów teatralnych.

Czy nie zbyt daleko odbiegłem od sztuki, którą oglądaliśmy w Telewizji w poniedziałek 22 stycznia 1968 r.? No, przecież ja nie interpretuję tekstu, patrzę na nią jako na symptom pewnego procesu, w którym sex zastępuje staroświecką miłość, w którym ludzie w tych sprawach rezygnują z drugiego człowieka tak, jak się rezygnuje z samochodu lub mebla.

JERZY MILEWSKI

Teatr TV. K. Waterhouse i W. Hall: „Babia Góra". Przekład K. Piotrowski. Reż. I. Cywińska - Adamska. Scenogr. A. Wirth. Aktorzy: K. Łaniewska, R. Kłosowski, J. Świderski.